

Prasowe
Wydawnictwo
Dokumentacyjne
RSW „P-K-R”

Warszawa
Pl. Starynkiewicza 7
Tel. 28-59-59

LITERATURA

Warszawa, ul. Koszykowa 6-a

wydanie

7 1 3 -02- 1975

Nr 7 d. 7

268

BRZYDKIE ZABAWY

Jan Kłossowicz



Czytając „Białe małżeństwo” zastanawiałem się, jak też ta sztuka mogłaby wyglądać w teatrze.

Jak, na przykład, zagrać by można tak opisaną przez Różewicza scenę: *Bianka ciągle patrzy w okno. Nieruchoma. Dopiero po chwili odwraca się i z trwogą patrzy na młodzieńca. Ten stoi wyprężony. Bianka widzi między jego nogami sztywny jak z drewna wielki członek. Wygląda to tak, jakby młodzieniec chciał ją przebić. Na twarzy Bianki maluje się przerażenie. Zaczyna wyć. Światło gaśnie. Za oknem narasta krwawa luna. Słychać bicie dzwonu. Nawet w teatrach, gdzie grano na golasa słynną „Oh, Calcutta!”, pokazywać można wszystko, ale „except erection and penetration”, a tu...*

Tu złośliwy, jak zwykle, Różewicz kpi sobie z gołego i seksualnego teatru i pokazuje język (?) reżyserom: spróbujcie to zrobić. W Krakowie się ulekli, zapowiadano prapremierę w Starym Teatrze, tymczasem odbyła się w warszawskim Teatrze Małym. Chciałoby się użyć normalnego w takich razach zwrotu, pisząc, że reżyser prapremiowego spektaklu Tadeusz Minc wyszedł z tej sprawy obronną ręką, ale przypomina się monolog Dziadka (którego tak ładnie gra w Małym Seweryn Butrym): *...myślałem, że starość ochroni... stanie się tarczą ochronną przed pokusami... ale i łakomstwo wróciło, i obżarstwo, i lenistwo... i próżny się zrobiłem, i załotny nawet, i wąsy farbuje i brodę... i bindy używam z próżności... wracam do starych nalogów sprzed siedemdziesięciu laty... ta dłoń, która winna ująć ster na niwie, czepigę pługa, ta dłoń nawykła do szabli i pióra... I opada ręka z piórem. Jak tu pisać? Co słowo to aluzja, co scena to pułapka, co mebel czy rekwizyt to symbol.*

„Białe małżeństwo” jest przede wszystkim przewrotnym żartem literackim, złośliwym pastiszem fin de siècle'owej literatury, obyczajowości, erotyki. Jest w nim atmosfera książek dla dorastających panienek, broszur uświadamiających, starych pornograficznych pocztówek i młodopolskiej poezji miłosnej. A powstała tu sztuka z zamiaru adaptacji „Poganki” Żmichowskiej, gdzie sama autorka, nie bez racji podejrzewana o lesbijskie skłonności (które tak pięknie nazywała „posiestrzeniem”), miała wystąpić w spodniach Beniamina. Z przeróbki „Poganki” ostatecznie niewiele tu pozostało, przemieniła się w okrutny żart wobec belle époque i w ironiczne przekomarzanie ze współczesną modą na erotyzm.

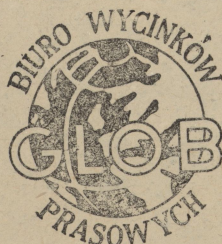
Czytając tę sztukę bez poczucia humoru, można się zgłó (?) oburzyć albo też nie zwrócić na nią uwagi, wystawiając ją w teatrze bez umiaru, taktu i dowcipu, można bardzo łatwo zrobić z niej wulgarną karykaturę. Mincowi na szczęście nie zabrakło ani zmysłu humoru, ani wyczucia proporcji. Jego przedstawienie dzieje się na pustej, estradowej scenie Teatru Małego, gdzie nie ma mowy o jakiegokolwiek „nastrojowej” zabudowie scenograficznej. Toteż nie ma tu prawie nic. Tylko w kącie ustawili Sadowski kilka zielonych drzewek-fallusów, a pośrodku łóżko, na którym przekomarzają się, łasują czekoladki i wygadują świniestewka Bianka i Paulina (Teresa Sawicka i Barbara Sułkowska). A wkoło tańczący korowód: Bohdana Majda w roli nieszczęsnej, cierpiącej na frigidity Matki, imponująca belle femme — Ciotka (Małgorzata Lorentowicz), chudy i brodaty niczym młodopolski lub współczesny poeta — Beniamin (Krzysztof Wakuliński), Kucharz, którą Pan zaszedł w kuchni od tyłu (Danuta Wodyńska), a między innymi — jak z „Kuriera” wycięty — Byk — Ojciec (Edward Rauch). Wszystko kłębi się, biega, porykuje, gzi i tłamsi

wokół zajętych sobą dziewczątek. A jest jeszcze Myśliwy i „Dziewka bosa”, i rozebrana do rosołu strip-teaserka (jeśli mnie wzrok nie myli — ta sama co w „Syrenie”, a to przypominałoby starą anegdotę o nocnym życiu).

Śmieszni starszyszkowie się cieszą, młodzi się śmieją, średni się krzywią, a Minc, według przepisu Różewicza, przypieka, przyrumienia i polewa pikantnym sosem i nieszczęsną moderną, i chuć sprzed siedemdziesięciu lat, i najnowsze ciagoty do golizny i seksu. Po co tylko Różewicz wsadził w swoją sztukę wiersz Stanisława Korab-Brzozowskiego „O, przyjdź jesienią”? Może to niezbyt ładny gest poety wobec innego poety, który napisał ten wiersz o śmierci, a potem się zabił. A może chodzi tu o coś więcej...

Jest na pewno w „Białym małżeństwie” zawarty autentyczny, choć schowany za secesyjnymi parawanami, halakami i gorsetami, atak na poetycki sentymentalizm, na seksualne i obyczajowe obsesje, na „wysublimowany” erotyczny symbolizm, który się w epoce moderny narodził i który dotąd, nie tylko w literaturze, pokutuje. Do wewnętrznej warstwy sztuki Różewicza, gdzie chowa się pytanie o „sens życia” i „poezji” — trudno się dobrać. Minc tego nie zrobił, ale za to udał się żart. Żart, który zresztą kończy się okrutnym obrazem: przemienionej nie tyle w chłopaka, ile w kalekę hybrydę Bianki. A że po warszawskiej premierze słychać głosy niezadowolonych, którzy namawiają autora „Białego małżeństwa” do „poważnych” (znowu ta dłoń!) sztuk? No cóż, jego do pisania namawiać nie trzeba, tylko niech mu, co napisze, grają. ■

Teatr Mały. Scena Teatru Narodowego w Warszawie. Tadeusz Różewicz: „Białe małżeństwo”. Reżyseria: Tadeusz Minc. Scenografia: Andrzej Sadowski. Muzyka: Jacek Sobieski. Prapremiera w styczniu 1975.



Prasowe
Wydawnictwo
Dokumentacyjne
RSW „P-K-R”

Warszawa
Pl. Starynkiewicza 7
Tel. 28-59-59

LITERATURA

Warszawa, ul. Koszykowa 6-a

wydanie

7 13-02-1975

Nr z dn.

BRZYDKIE ZABAWY

Jan Kłossowicz



Czytając „Białe małżeństwo” zastanawiałem się, jak też ta sztuka mogłaby wyglądać w teatrze.

Jak, na przykład, zagrać by można tak opisaną przez Różewicza scenę: *Bianka ciągle patrzy w okno. Nieruchoma. Dopiero po chwili odwraca się i z trwogą patrzy na młodzieńca. Ten stoi wyprężony. Bianka widzi między jego nogami sztywny jak z drewna wielki członek. Wygląda to tak, jakby młodzieniec chciał ją przebić. Na twarzy Bianki maluje się przerażenie. Zaczyna wyć. Światło gaśnie. Za oknem narasta krwawa luna. Słychać bicie dzwonu. Nawet w teatrach, gdzie grano na golasa słynną „Oh, Calcutta!”, pokazywać można wszystko, ale „except erection and penetration”, a tu...*

Tu złośliwy, jak zwykle, Różewicz kpi sobie z gołego i seksualnego teatru i pokazuje język (?) reżyserom: spróbujcie to zrobić. W Krakowie się ulękli, zapowiadano prapremierę w Starym Teatrze, tymczasem odbyła się w warszawskim Teatrze Małym. Chciałoby się użyć normalnego w takich razach zwrotu, pisząc, że reżyser prapremierowego spektaklu Tadeusz Minc wyszedł z tej sprawy obronną ręką, ale przypomina się monolog Dziadka (którego tak ładnie gra w Małym Seweryn Butrym): *...myślałem, że starość ochroni... stanie się tarczą ochronną przed pokusami... ale i łakomstwo wróciło, i obżarstwo, i lenistwo... i próżny się zrobiłem, i załotny nawet, i wasy farbuję i brodę... i bindy używam z próżności... wracam do starych nalogów sprzed siedemdziesięciu laty... ta dłoń, która winna ująć ster na niwie, czepigę pluga, ta dłoń nawykła do szabl i pióra... I opada ręka z piórem. Jak tu pisać? Co słowo to aluzja, co scena to pułapka, co mebel czy rekwizyt to symbol.*

„Białe małżeństwo” jest przede wszystkim przewrotnym żartem literackim, złośliwym pastiszem fin de siècle'owej literatury, obyczajowości, erotyki. Jest w nim atmosfera książek dla dorastających pań, broszur uświadamiających, starych pornograficznych pocztówek i młodopolskiej poezji miłosnej. A powstała tu sztuka z zamysłu adaptacji „Poganki” Żmichowskiej, gdzie sama autorka, nie bez racji podejrzewana o lesbijskie skłonności (które tak pięknie nazywała „posiesterzeniem”), miała wystąpić w spodniach Beniamina. Z przeróbki „Poganki” ostatecznie niewiele tu pozostało, przemieniła się w okrutny żart wobec belle époque i w ironiczne przekomarzenie ze współczesną modą na erotyzm.

Czytając tę sztukę bez poczucia humoru, można się zgłóżyć (?) oburzyć albo też nie zwrócić na nią uwagi, wystawiając ją w teatrze bez umiaru, taktu i dowcipu, można bardzo łatwo zrobić z niej wulgarną karykaturę. Mincowi na szczęście nie zabrakło ani zmysłu humoru, ani wyczucia proporcji. Jego przedstawienie dzieje się na pustej, estradowej scenie Teatru Małego, gdzie nie ma mowy o jakiegokolwiek „nastrojowej” zabudowie scenograficznej. Toteż nie ma tu prawie nic. Tylko w kącie ustawili Sadowski kilka zielonych drzewek-fallusów, a pośrodku łóżko, na którym przekomarzają się, łasują czekoladki i wygadują świństwka Bianka i Paulina (Teresa Sawicka i Barbara Sułkowska). A wkoło tańczący korowód: Bohdana Majda w roli nieszczęsnej, cierpiącej na frigidas Matki, imponująca belle femme — Ciotka (Małgorzata Lorentowicz), chudy i brodaty nieczym młodopolski lub współczesny poeta — Beniamin (Krzysztof Wakuliński), Kucharcia, który Pan zaszedł w kuchni od tyłu (Danut Wodyńska), a między innymi — jak z „Kuriera” wycięty — Byk — Ojciec (Edward Rauch). Wszystko kłębi się, biega, porykuje, gzi i tamsi

wokół zajętych sobą dziewczątek. A jest jeszcze Myśliwy i „Dziewka bosa”, i rozebrana do rosołu strip-teaserka (jeśli mnie wzrok nie myli — ta sama co w „Syrenie”, a to przypominałoby starą anegdotę o nocnym życiu).

Śmieszni staruszkowie się cieszą, młodzi się śmieją, średni się krzywią, a Minc, według przepisu Różewicza, przypieka, przyrumienia i polewa pikantnym sosem i nieszczęsną moderną, i chuć sprzed siedemdziesięciu lat, i najnowsze ciagoty do golizny i seksu. Po co tylko Różewicz wsadził w swoją sztukę wiersz Stanisława Korab-Brzozowskiego „O, przyjdź jesienią”? Może to niezbyt ładny gest poety wobec innego poety, który napisał ten wiersz o śmierci, a potem się zabił. A może chodzi tu o coś więcej...

Jest na pewno w „Białym małżeństwie” zawarty autentyczny, choć schowany za secesyjnymi parawanami, hal-kami i gorsetami, atak na poetycki sentymentalizm, na seksualne i obyczajowe obsesje, na „wysublimowany” erotyczny symbolizm, który się w epoce moderny narodził i który dotąd, nie tylko w literaturze, pokutuje. Do wewnętrznej warstwy sztuki Różewicza, gdzie chowa się pytanie o „sens życia” i „poezji” — trudno się dobrać. Minc tego nie zrobił, ale za to udał się żart. Żart, który zresztą kończy się okrutnym obrazem: przemienionej nie tyle w chłopaka, ile w kaleką hybrydę Bianki. A że po warszawskiej premierze słychać głosy niezadowolonych, którzy namawiają autora „Białego małżeństwa” do „poważnych” (znowu ta dłoń!) sztuk? No cóż, jego do pisania namawiać nie trzeba, tylko niech mu, co napisze, grają.

Teatr Mały. Scena Teatru Narodowego w Warszawie. Tadeusz Różewicz: „Białe małżeństwo”. Reżyseria: Tadeusz Minc. Scenografia: Andrzej Sadowski. Muzyka: Jacek Sobleski. Prapremiera w styczniu 1975.